

Tatarskie ziele ma dwa zapachy. Jeżeli się potrze w palcach zieloną jego wstążkę, miejscami przymarszczoną, poczuje się zapach, łagodną woń „wierzbnami ocienionej wody”, jak mówi Słowacki, trochę tylko zatracającą wschodnim nardem. Ale kiedy się takie pasmo tataraku rozetrze, kiedy się włoży nos w brudę, wyłożoną jak gdyby watą, czuje się obok kadzidlanej woni zapach błotnistego ifu, gnijących rybich łusek, po prostu błota. Zapach ten na początku mojego życia skojarzył się z obrazem gwałtownej śmierci. W dzieciństwie tatarakiem wykładano podłogi sieni i balkonu, panował on niepodzielnie w dniach wesołych i naprawdę Zielonych Świąt. A jednocześnie przypomina mi on zawsze śmierć mojego pierwszego przyjaciela, który nosił dziwaczne imię Gracjan i utopił się mając trzynaście lat. To było o świtanie mojego życia, we wczesnym dzieciństwie. Ale i dzisiaj wywołuje ten podwójny zapach niewesołe myśli. Koniec ma jakieś tajemnicze związki z początkiem. Ton, dźwięk, woń jak echo odpowiadają z końca w koniec żywota. Zapach dzieciństwa odnajduje odpowiednik w zapachu starości, młodość odbija się w zielonym lustrze wieku dojrzałego. Taką jest w moim życiu historia tataraku. Na ogół ludzie się dziwią, że aby uciec od zgiełku miast i podróży, aby oderwać się od nużących i jałowych zajęć, spędzam część lata (raczej późnej wiosny) w małym miasteczku Z., położonym nad wielką rzeką. Oprócz rzeki i łąk nadrzecznych, oprócz nadbrzeżnej wikliny, oprócz lekkiej konstrukcji mostu, który łączy dwa brzegi — w miasteczku nie ma dosłownie nic. Zakurzony rynek, parę domów i domków — owszem, jest dużo ogrodów i sadów, które są jedyną ozdobą osiedla. Dla mnie największą atrakcją jest to, że mogę tam mieszkać (w przytułku dla starców!) nie podając nikomu mego adresu, nie męczony telefonami i depeşami, otrzymując codziennie listy od żony. Mam też jeszcze jedną atrakcję, której ludzie mniej mnie znający przypisują większe niż ma naprawdę znaczenie: jest nią przyjaźń z doktorową M. Jest to prawdziwa przyjaźń, poparta wielkim argumentem tego, że widzimy się raz na rok dwa lub trzy tygodnie, nie pisujemy do siebie i nie jesteśmy zupełnie zainteresowani w naszych żywotach. Pomaga to zarówno szczerości naszych wyznań, jak też pewnemu wzajemnemu egzaltowaniu swoich charakterów. Jesteśmy dla siebie zawsze czymś osobliwym, w ciągu całych dwudziestu pięciu lat naszej znajomości. Doktorowa M. — p. Marta — straciła w czasie okupacji dwóch synów i teraz jest zupełnie samotna. Mąż potwornie zapracowany. Oprócz szpitala ma olbrzymią praktykę wokół miasteczka. Dawniej widywałem go na chłopskich furkach jadącego po 15, 20 kilometrów do chorych. Teraz ma samochód i może odwiedzić w ciągu dnia znaczną ilość pacjentów. Wpływa to dodatnio na poziom codziennego życia doktorostwa. Mimo tego „poziomu”, pewnej łatwości życiowej, pani Marta odczuwa bardzo swoje opuszczenie. Parę tygodni mojego pobytu w miasteczku Z. nie może zaradzić jej uczuciu zbędności istnienia. Trzeba zresztą dodać, że pani Marta nigdy nie narzeka, nie daje wyrazu swoim uczuciom. Pilnie zajmuje się domem, przyjmuje telefony, zapisuje pacjentów i stara się, aby zziąjany doktor przychodząc do domu zastawał ład, spokój i zewnętrzny wygląd mieszkania doprowadzony do najwyższego porządku. 29* Dom doktorostwa — to staroświecki dworek, jakich jest wiele w miasteczku. Niewygodny rozkład obszernych pokoi sprawia, że nikt nie może tu mieszkać oprócz doktorostwa. Pokój chłopców zamknięty jest na klucz i nikt tam nie zagląda. A inne pokoje, niskie, ale jasne, zastawione są mnóstwem staroświeckich mebli i doniczek z egzotycznymi roślinami. Doktorowa przyjmowała mnie zawsze w salonie, gdzie stoi garnitur simmlerowskich mahoniowych mebli, krytych szafirowym pluszem, gdzie wisi na ścianie parę oleodruków i portret pani Marty, sporządzony przez miejscowego malarza, który powąchał kiedyś paryskiego powietrza. W czarnych żardinierach gęsto zieleniały rośliny, jakby zrobione z jedwabiu i blachy. Ogromny fortepian, przez nikogo od wieków nie tykany, stał tu także. Na podłodze leżał czerwony dywan, przedstawiający kobietę niosącą dwa wiadra wody na koromyśle. Nie był to pokój stworzony do zwierzeń. A jednak tu mi opowiadała pani Marta historię swego życia. Tu też — ostatnio, kiedy skonstatowano u niej objawy chronicznej a nieuleczalnej choroby — opowiedziała mi sprawę, która jest przedmiotem niniejszej relacji. Oczywiście, spisałem to wszystko jak literat, uzupełniając, dodając to, co sobie wyobrażałem — i nawet czasami, prawem od bardzo dawna uświęconym, a w gruncie rzeczy nie umotywowanym, zaglądając do wnętrza działających osób. Być może potraktowałem całą sprawę zbyt dramatycznie, jak gdyby było tu coś wyjątkowego. A przecież to historia codzienna, jakich tysiące zdarzają się po naszych miastach i miasteczkach. Pani Marta nigdy nie bywa na „przystani”. Tak się nazywa dość duży

drewniany budynek, stojący w pewnym oddaleniu od rzeki. Składa się on z dwóch sal. W jednej z nich stoi bufet, gdzie sprzedają papierosy, piwo i znakomity tutejszy „płynny owoc” — gospodarczą podstawę tego pełnego sadów rejonu — a obok sal istnieje duży taras, a raczej drewniany pomost, na którym odbywają się tańce. Wszystko to stoi jak chatka na kurzej nóżce na wysokim podmurowaniu, które zabezpiecza „przystań” przed porwaniem przez wezbrane wody powodzi. • Ten taras właśnie jest największą atrakcją miasteczka Z. Tu przychodzi wytańczyć się i wyszumieć młodzież znudzona monotonią pracy czy nauki w położonym daleko od wszelkich centrów kulturalnych mieście. Dzieje się to zwykle w soboty i niedziele. Przy czym w soboty obowiązuje chłopców strój bardziej swobodny, kolorowe kraciaste koszule i potargane „egzystencjalistycznie” czupryny. W niedzielę natomiast włosy są pobożnie przygładzone, koszule są białe i marynarki ciemne. W jednym i drugim stroju chłopcy piją „płynny owoc” i wbrew temu, co się mówi o pijaństwie w Polsce, wódki z sobą nie przynoszą. Są na to za ubodzy. Grają także w bridża, po pół grosza punkt. Dziewcząt jest zazwyczaj bardzo mało, tyle tylko, ile do tańca potrzeba. Gdzie mogła zaprowadzić pani Marta przybyłą ze stolicy przyjaciółkę? Cóż jej miała pokazać w zrujnowanym przez wojnę miasteczku? Oczywiście zaprowadziła ją na „przystań”. Księżyc świecił, rzeka połyskiwała, czasami głośniejszą klapnęła fala o brzeg. Ale nikt nie patrzył w tamtą stronę. Na drewnianym tarasie tańczyły pary, chociaż megafon chrząkał niemilosiernie. W środku prawie wszystkie stoliki były zajęte. Młodzieńcy grali w bridża. Panie zajęły wolny stolik z boku i rozejrzały się po sali. W kącie za „szynkwasem” uprzejma blondyna sprzedawała wodę sodową i ów „płynny owoc”, sławę miejscowej przetwórni. Trzeba było sobie samemu przynosić te butelki. Pani Marta skierowała się do bufetu i wzięła dwie butelki jabłecznego soku. Wracając do swojego stolika mijając grupę grających. Jeden z chłopców, uderzając kartą o stół, wysoko podniósł rękę i trącił butelkę niesioną przez panią Martę. Butelka omal nie wysliznęła się jej z rąk, a chłopak podniósł na nią oczy i przeprosił uprzejmie. Pani Marta usiadła obok przyjaciółki i milczała przez chwilę. Potem rozlała do szklanek płyn o pięknej, dojrzałej barwie i znowu się zamyśliła. Spojrzała w stronę, gdzie siedział ów chłopiec, który ją potrącił. Zwrócony do niej bokiem, ukazywał swój profil nieregularny, o zgniecionym nieco, jak u boksera, nosie. Miał obfite włosy, zaczesane do góry. Ręka, w której trzymał karty, palce drugiej ręki, którymi przebierał po damach i waletach wahając się, czym ma zabić lewę, były piękne i smukłe. Znajdowały się one w wyraźnym kontraście ze złamanym nosem, dość dużą, masywną głową i wulgarnie rzeźbioną szyją, wynurzającą się z czerwonej koszuli (była sobota). Pani Marta szybko spotrzegła, że z ową „przyjaciółką” niewiele mają sobie do powiedzenia. Łączyły je kiedyś wspomnienia młodości, ale pani Marta zauważyła, że od jakiegoś czasu nie znosi wspomnień. Postarzały ją one — i mówiły o wszystkim, co się obróciło w proch. A w pani Marcie żyły jeszcze jakieś niejasne nadzieje na dzień dzisiejszy. Słuchała więc opowiadań przyjaciółki, która miała czworo dzieci rozsianych po wszystkich częściach świata, otrzymywała od nich paczki i listy i uważała za stosowne poinformować panią Martę o tym wszystkim bardzo szczegółowo. Doktorowa słuchała piąte przez dziesiąte, od czasu do czasu zadawała jakieś pytanie, a nudząc się obserwowała chłopców grających w karty. W pewnej chwili zobaczyła niezwykle uroczą dziewczynę, jak szybkim krokiem weszła na salę (o ile tak można nazwać niskie i drewniane pomieszczenie „przystani”) i zatrzymując się przy tamtym stoliku położyła rękę na ramieniu chłopca, który uderzył w butelkę pani Marty. Chłopiec się odwrócił — i wtedy pani Marta ujrzała jego twarz en face. Nie odpowiadała ona zupełnie — jak to czasem bywa — jego profilowi. Szeroka, o wystających kościach policzkowych, miała ta twarz w oczach jakiś specjalny błysk, który zainteresował panią Martę. Powiedział parę słów do przybyłej dziewczyny, potem znowu zwrócił się ku kartom. Ona powstała chwilę nad nim, jakby się wahała. Potem powoli odeszła. Ubrana była w czarny sweter i kolorową spódnicę. Miała nawet włosy upięte w modny „koński ogon” — a jednak było w niej coś opuszczonego i zaniedbanego, jakaś omdłałość ruchów, jakieś zniechęcenie w całej postaci. Obcisnięty sweter ukazywał piękne linie ciała, ruchy miała trochę kocie, skradające się a obojętne. Mogła bardzo interesować. Chłopak przerwał grę w karty i ku oburzeniu kolegów wybiegł za dziewczyną. Zastąpił go mały, chudy, przebiegły chłopaczek, który kibicował przez cały czas przy bridżu i widocznie tylko czekał na nadarzącą się okazję, aby wpakować się na opuszczone miejsce przy stoliku. Pani Marta z przyjaciółką także wkrótce wyszły. Nazajutrz poszły na daleki spacer wałami ochronnymi rozciągającymi się wzdłuż rzeki na całe kilometry. Jediną rzeczą, która miała w miasteczku jakiś charakter, była ta rzeka. Jej piękno mogło okupić kurz, brud i pospolitość małomiasteczkowych uliczek. Kiedy się schodziło nad wodę, zapominało się nie tylko o domach, ale i o ludziach. Szeroka i majestatyczna, płynęła rzeka wielkim łożyskiem, obrzeżona z obu stron zaroślami wiklin. I to nawet, że zaraz z początkiem lata wyłaniały się z

szarawej wody mielizny, niby obłe grzbiety potworów, nie pozbawiało jej owego majestatu. Gdy się stało na brzegu, czuło się siłę i wartkość prądu, który po deszczach wzbierał pianą i szybko pokrywał wyłonięte piaski. Widok rzeki był zbyt potężny i jakby nieludzki. Pani Marta wołała, idąc wałami ochronnymi, położonymi dość daleko od głównego koryta, oglądać zielone łąki wynurzające się spod wiklin jak inna, łagodniejsza woda. Wzdłuż wału ciągnęły się nie zarośla, ale gaiki wierzbowe, gdzie odróżniało się już poszczególne osobniki. Od czasu do czasu spośród wierzb strzelał ku górze olbrzymi, stuletni pień białodrzewu. Gdy się przechodziło koło takiego olbrzyma nawet w bezwietrzny pozornie dzień — koronę jego napełniał zawsze swoisty, muzykalny szelest, nie tak suchy, jak szelest starych palm. Zresztą i tu także znajdowały się okrągłe zarośla wikliny i iwy. To było w tych miejscach, gdzie na łące tworzyły się duże stawki, „oka” porośnięte rzęsą i trzciniami, pełne wodnych lilii i grążeli. Pani Marta specjalnie lubiła zatrzymywać się przy tych wodnych zbiornikach, ciemnych i niezmiernie głębokich. Czasami na dnie takiego jeziora biło podwodne źródło, zaznaczając się na powierzchni bąblami i kręgami na wodzie. Zwłaszcza pociągały ją te „oka”, które, otoczone gęstą gmatwaniną wiklin, na brzegach zarosłe tatarakiem, ukryte jak gdyby przed człowiekiem, pociągały go tajemniczością i tym, że na ich brzegu osiągało się zupełną samotność. Zdawało się nad takim jeziorkiem, że się jest zupełnie poza życiem. Kiedy pani Marta ze swoją przyjaciółką wyszły na wał, było olśniewające majowe popołudnie. Niebo było bezchmurne, a wierzby stały nieruchomo. Tylko białodrzewy szeleściły. Przyjaciółki szły w słońcu po miękko wygiętej linii wału. Po lewej stronie ku łąkom spadało zbocze niebieskie od niezapominajek, po prawej w kwitnących sadach stały domki ogrodników i błyszczały okna inspektów. Pani Marta znowu obojętnie słuchała słów swej dawnej koleżanki. W pewnym momencie ujrzała siedzącą na skraju wału parę. Byli to owi znajomi z przystani. Dziewczyna miała na sobie jasną sukienkę, chłopiec koszulę koloru khaki, byli codzienni, powszedni. Dziewczyna mówiła coś przekonująco, chłopiec gryzł trawkę i odwracał się w stronę rzeki, która w tym miejscu przebijała niebiesko przez zarośla wikliny. Pani Marta ujrzała ich z daleka i zwróciła uwagę na styl ich rozmowy. Kiedy dwie kobiety zrównały się z siedzącymi, młodzi zamilkli. Gdy panie wracały ze spaceru — już ich na brzegu wału nie było. Pani Marta wiedziała, w jakim miejscu siedzieli, i ujrzała tam zgniecione koniczynki i niezapominajki. Po paru dniach przyjaciółka wyjechała. Któreś z jej dzieci miało przyjechać z Ameryki, musiała być w Warszawie. Pani Marta znowu została sama. I pewnego popołudnia wybrała się na przechadzkę wałem. Zdawało jej się, że znowu spotka tę parę, która ją fascynowała swoją urodą i młodością. I rzeczywiście, prawie w tym samym miejscu, co wtedy, siedział ów młodzieniec, ale bez dziewczyny. Pani Marta już wiedziała, jak się nazywa i co robi: był to Bogusław K. i pracował od dość dawna, choć miał może dwadzieścia pięć lat zaledwie, w zarządzie wodnym. Boguś był bardzo popularny w mieście i znał go każdy. Pani Marta też była wszystkim znana. Toteż, kiedy uważnie popatrzyła na chłopca, ten zarumienił się i pozdrowił ją. Pani Marta zatrzymała się przy nim. — I cóż to dzisiaj pan sam? Boguś zarumienił się jeszcze bardziej i chciał wstać. — Niech pan siedzi, niech pan siedzi — powiedziała pani Marta — ja też usiądę. To jest prześliczne miejsce. Usiadła na trawie i popatrzyła. Przed nimi stał wysoki rozłożysty białodrzew. Wiatr ukazywał jasną podszewkę jego liści. — Sam pan? — powtórzyła swe pytanie pani Marta. — Halinka wyjechała — niechętnie bąknął Boguś. Pani Marta z przyjemnością skonstatowała, że głos ma niski i bardzo uroczy. Było bardzo gorąco i Boguś miał na sobie tylko sportową koszulkę. Miał piękne ramiona — ale twarz z załamanym nosem z bliska zdawała się bardzo brzydka, a nawet dzika. Pani Marta przyglądała się uważnie Bogusiowi. — Kto to jest Halinka? — spytała. — To nieważne — powiedział Boguś tym uroczym głosem, uśmiechając się. Mimo różnicy wieku pani Marta, siedząc obok Bogusia, poczęła myśleć o swoim ciele. Czy on by mógł znaleźć jaką przyjemność w jej rozkwitłej — i przekwitłej — urodzie? Odczuła nagle, a tak dawno o tym nie myślała, swoje biodra, uda; pomyślała o swoich piersiach. „On nawet nie wie, jak ja wyglądam.” I przypomniała sobie, że nałogowa po prostu mania gimnastykowania się pozwoliła jej zachować do dojrzałego wieku prężność muskułów i elastyczność skóry. Piersi miała zawsze nieduże, stąpała szybko i równo. Czy to by się jeszcze podobało? Zawstydziała się swoich myśli, panowało między nimi chwilowe milczenie. — Ona jest studentką — powiedział nagle Boguś nie patrząc na Martę — i strasznie się mądry. A ja przecie jestem prosty chłopak... W głosie jego brzmiał wyraźny żal. Marta nie miała ochoty wysłuchiwać jego zwierzeń. — Czy pan ma rodziców? — spytała. — Nie mam — odpowiedział — zginęli w powstaniu. Babcia mnie wychowała. — Wychowała chłopca na schwał — powiedziała z przekonaniem pani Marta i zaraz się połapała. „Skąd mi do głowy przychodzą takie głupie rzeczy?” — Gdzie się pan uczył? — spytała rzeczowo, dla zatarcia tamtego niemądrego zdania. Boguś popatrzył na nią z niechęcią. Wyglądał, jakby myślał: „Przecież nie jestem na egzaminie.”

— W Elblągu — powiedział — na wodniaka. — A nie chciałby pan czego innego? — Zaczyna pani — dość niecierpliwie powiedział Bogusław — jak Halina. Nic ze mnie innego nie będzie, rozumie pani? Nic. Jestem urodzony na wodniaka — mierniczy wodny i już. — A ona czego chce od pana? — spytała Marta, ucieszona ostrym tonem chłopca. Nie zauważył nawet tamtego idiotyzmu. — No, chce, żebym czytał książki i chodził z nią nad rzekę przy księżycu. — A pan woli bridża? — Pewnie. — Widziałam pana wówczas na „przystani”. — No, właśnie. Dołem, u stóp wału pędzili krowy. Objedzone, z pozielenionymi wysoką trawą wymionami szły pomatu i nie poddawały się woli poganiaczy, wołających co chwila: „a nu!” Jedna z nich trzymała w pysku pęk niezapominajek — i nie połykała go. Pani Marta położyła swą dłoń na ręce Bogusia. — Ja bym też chciała, żeby pan się uczył, żeby pan czytał książki. Boguś nie zabrał swej ręki, komar gryzł go w ramię, pani Marta zabiła go, kropla krwi ukazała się na pięknej okrągłości muskułu. — Ja czasem czytam — głębokim basem powiedział Bogusław — ale nie mam skąd brać. Kupować nie mogę. Jeszcze babce muszę posyłać forszę — dodał jak gdyby dla wyjaśnienia. — Niech pan bierze książki ode mnie — powiedziała niespodziewanie dla samej siebie Marta. — My mamy trochę książek. Mój mąż sprowadza i kupuje w Domu Książki, a sam nie ma czasu na czytanie. Leżą najczęściej nie rozcięte. — Dziękuję — zmieszał się Boguś, który bynajmniej do książki się nie palił. — Kiedy pan przyjdzie? — spytała Marta. Nic jej nie powiedział. Siedział nachmurzony i gryzł trawkę. Dotknęła jego przedramienia. Nie zauważył tego, myślał o swoim. Nagle wybuchnął: — Bo jej się zdaje Bóg wie co. Ona będzie profesorem uniwersytetu i powiada, że jej wstyd takiego nieuka. Niech sobie będzie nieuk. Mnie tam żadnej filozofii nie trzeba. Mnie jest dobrze, jak jest. Chce iść za mnie za mąż, to dobrze, a nie chce, to drugie dobrze. Marta zdziwiła się: — Pan jeszcze za młody na małżeństwo. Boguś spojrział na nią z pewną irytacją. — Za młody, za młody — powtórzył — ona tak samo mówi. Ja inny nie będę. — Niech pan przyjdzie jutro — powiedziała na to dość natarczywie Marta i wstała. Boguś też się zerwał. — Pan wie, gdzie my mieszkamy? Za Krakowską Bramą. Podała mu rękę. Widziała w wycięciu koszulki, jak mu drgała skóra na piersi. — Pan pływa? — spytała. — Pływam, oczywiście — odpowiedział i pocałował ją w rękę. — To może spotkamy się kiedy nad rzeką? — spytała. Boguś nic nie odpowiedział. Był trochę zdziwiony, ale nie zmieszany. Pani Marta okazała niezły humor przy kolacji. Doktor był bardzo zmęczony, ale się rozchmurzył. Mówili o bieżących sprawach, ale z pewnym ożywieniem, którego już dawno nie było przy ich smutnym stole. Wspólne ich pożycie od dawna już nie miało sensu. Pani Marta spełniała wszystkie obowiązki dobrej gospodyni, ale w kuchni panowała stara Zosia, która wychowywała chłopców — i teraz jakby z litości została przy rodzicach. Układanie kwiatów w wazonach i przyjmowanie telefonów to nie była zbyt absorbująca praca. Pani Marta odczuwała tę pustkę, ale nie umiała jej zaradzić. Od czasu do czasu sprowadzała jakąś dawną koleżankę ze stolicy, ale najczęściej taka osoba uciekała z domu doktorostwa po kilku dniach. Jedna z nich puściła taką gadkę po Warszawie: „Nie mogę wytrzymać w takim ibsenowskim nastroju.” I określeniem atmosfery domu pani Marty odpędziła chętne jeszcze do tej wizyty przyjaciółki. A doktor nie miał wielkich wymagań: lubił dobrze zjeść, a niedzielami czytał gazety i pisma medyczne. Z żoną nie rozmawiał na żadne tematy, zresztą był tak oglupiony nadmierną pracą i zbijaniem pieniędzy, że po prostu nie miał dość sił wieczorami, aby usta otworzyć. Tego dnia jednak coś się między nimi odmieniło. To chwilowe ożywienie obojgu sprawiło niespodziankę — i siedząc naprzeciwko siebie jak gdyby ujrzeni siebie na nowo. Doktora to bardzo zainteresowało. Ujrzał, jak Marta podnosi obie ręce do głowy i poprawia sobie włosy z tyłu. Był to dawny, zapomniany gest młodości. Doktor westchnął, odwrócił oczy i znowu patrzył w talerz. Jedzenie dzisiaj wieczór było bardzo dobre: potrawka z raków i krem przypalany. I nagle po kolacji pani Marta wstała i wyjęła klucz z szuflady małego stolika, stojącego przy fortepianie. Mąż popatrzył na nią zdziwiony. Ale ona krokiem, który usiłowała uczynić obojętnym (pomyślała, że Boguś chodzi tak rytmicznie, jakby tańczył), podeszła do drzwi pokoju chłopców, otworzyła je kluczem i weszła do środka. Zapaliła światło. Pokój był martwy i pusty i mało w nim zostało z dawnej atmosfery. Pani Marta usiadła przy stole, który chłopcom służył do nauki. Parę lat temu spędzała przy tym stole po parę godzin dziennie, teraz nie przychodziła tu bardzo dawno. Doktor nie ruszył się od stołu i popijał na pozór spokojnie herbatę. Drzwi do pokoju chłopców miał przed sobą i widział przy stole sylwetkę żony. Po chwili ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak z łokciami wspartymi na stole. Gdy wypił herbatę, wstał ciężko i podszedł do Marty. — Chodź — powiedział kładąc jej rękę na ramieniu — nie siedź tutaj. Marta drgnęła. Odwróciła do niego twarz. — Czy ty nie masz uczucia wstydu — powiedziała do męża — czy ty nie wstydzisz się, że żyjesz? Doktor wzruszył ramionami. — Bo mnie jest wstyd mojego życia wobec wszystkich zmarłych — powiedziała Marta i wstała z miejsca. Zaczęła chodzić po

obszernym i pustawym pokoju. — Mnie jest wstyd wobec wszystkich zmarłych, a coś dopiero wobec naszych... Doktor bezradnie stał pośrodku pracowni chłopców. Ręce jak kamienne opadły mu ku dołowi. — I pomyśl sobie, taka masa jest młodych — mówiła Marta — a naszych nie ma. — Nie byłoby już tacy młodzi — westchnął stary lekarz. — Jak myślisz? Byliby już żonaci? — spytała. — No, na pewno. Mielibyśmy prócz nich młode kobiety w domu. — Och, to okropne — wzdygnęła się. — Nie cierpię młodych kobiet — dodała — to takie pretensjonalne. Doktor znowu podszedł do niej. Wziął ją pod rękę. — No, chodź stąd — powiedział — niepotrzebnie się denerwujesz. Marta poddała się jego namowom. — Mnie zawsze ogarnia taki straszny wstyd, kiedy widzę jakieś młode życie. Bo młodość jest bezwstydną. Prawda? — powiedziała idąc z mężem do sypialni. Ale doktor zaprzeczył głową. — Zapominasz o jednej rzeczy — powiedział — że życie tak łatwo może się stać śmiercią. Nazajutrz przyszedł Boguś. Pani Marta nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że fakt ten bardzo ją ucieszył. Po chwili dopiero zrozumiała, czego chciał od niej: oczywiście wziął na serio to wszystko, co mu wczoraj mówiła o książkach. Chciał pożyczyć coś do czytania. Nie umiał tylko powiedzieć co. Powiedział tak dziwnie: coś z polonistyki. Pani Marta domyśliła się, że chodziło o takie książki, jakimi interesowała się Halina. Okazało się jednak, że nic nie czytał, a jeżeli czytał, to nawet nie pamiętał tytułów przeczytanych książek. Można mu było wetknąć byle co w rękę, ale pani Marta chciała wreszcie wydobyć z niego jakieś wyznanie literackie. Pytała go, co lubi czytać, i nie bardzo chciała się zorientować, że on nic nigdy nie czytał i że nie umie po prostu wyrazić swego życzenia. Siedzieli jakiś czas w tym saloniku z szafirowymi meblami, znowu było pięknie i znowu był zachód słońca. Przed oknami mieszkania od strony ulicy rosły olbrzymie jaśminy, prawdziwe jaśminowe drzewa — jak mawiała pani Marta. Były teraz w pełnym kwiecie i zakrywały światło zachodzącego słońca biało-zielonymi, na wpół przejrzystymi bukietami. — Widział pan nasze jaśminy? — spytała pani Marta. — Prawdziwe jaśminowe drzewa. Było to jedno z jej ulubionych powiedzeń, powiedzenie jej młodości. Wtedy jaśminy nie były takie wielkie, chociaż nie bardzo urosły przez tych dwadzieścia lat. Ale i wtedy nazywano je jaśminowymi drzewami. Boguś nie wiedział, zdaje się, o jakich krzakach czy drzewach mowa. Miał właściwość niektórych prawdziwych mężczyzn, że nie umiał zapamiętywać nazw kwiatów i drzew. Nie wiedział dokładnie, co to są jaśminy. Wiedział tylko, co to jest bez — i to z powodu głupiej a ordynarnej elbląskiej anegdotki. — Rzeczywiście — powiedział i patrzył na panią Martę nie rozumiejącymi oczami. — Pan jest strasznie młody — powiedziała Marta niespodziewanie dla samej siebie — ile pan ma lat? — Już pani mówiłem: dwadzieścia pięć. Pani Marta pomyślała, że sprawia jej specjalną przyjemność, jeżeli ktoś w jej obecności powiada, że ma dwadzieścia pięć lat. Sama ta liczba przyprawia ją o radość. To, że jest ktoś na świecie, kto ma taką dziwną i taką piękną liczbę lat. Przez chwilę chciała powiedzieć o tym Bogusiowi, ale wiedziała, że on nic z tego nie zrozumie. Więc zaniechała tego zamiaru. Ale tematu do rozmowy nie brakowało. Znowu wrócili do kwestii pływania i do powodzi, która niedawno nawiedziła miasteczko Z. Jakoś im szło dzisiaj gładziej z rozmową aniżeli zeszyły razem na wale. Jednak wspomnieli i wał. — Czy pan często tam chodzi? — spytała pani Marta. — Nie mam z kim — powiedział Boguś i zaczerwienił się. — Jak to? — zdziwiła się Marta. Boguś nabrał oddechu i wypalił: — Chyba żeby pani chciała ze mną iść na spacer. Pani Marta zdziwiła się. — Ależ bardzo chętnie — powiedziała, a potem dodała: — Cóż to, Halinka wyjechała? — Wyjechała do ciotki i wcale się ze mną nie pożegnała — powiedział Boguś tonem dziecka. Był to u niego zupełnie nowy ton i pani Marta popatrzyła na niego życzliwie. — No, chyba — powiedziała. — A więc dobrze. Jutro o dwunastej w dzień ma pan czas? To spotkamy się na plaży nad rzeką, pod samym mostem. Spróbujemy razem popływać. Boguś zgodził się skwapliwie. Zaraz potem poszedł sobie. I ostatecznie nie pożyczył żadnej książki do czytania. Nazajutrz pani Marta otrzymała list. Był to kawałek papieru bez koperty, przyniósł go jakiś chłopaczek z zarządu wodnego. „Szanowna Pani, Wczoraj byłem taki speszony, że umówiłem się z Panią na południe, ale ja przecież pracuję. Wolny będę dopiero koło czwartej. Czy pani może być o tej godzinie na plaży w umówionym miejscu? Łączę wyrazy prawdziwego szacunku Bogusław K.” List był napisany (przepisany?) starannym i dziecinnym pismem i sformułowany bez zarzutu. „Czy to Halinka pisała?” — pomyślała pani Marta. Około czwartej poszła więc na plażę pod mostem. Plaża była nieduża i o tej porze zupełnie pusta. Bogusia nie było. Pani Marta rozebrała się w krzaczkach — jak wszyscy to robili bez względu na wiek i sytuację społeczną — i w kostiumie weszła do rzeki. Siła wody była tak potężna, że o płynięciu pod prąd nie mogło być mowy. Trzeba było płynąć jakiś czas z prądem, potem wychodziło się na brzeg i szło się z powrotem łąką i piaskiem. Doktorowa zrobiła parę takich przechadzek. Nie chciała się przyznać przed sobą, że nieobecność Bogusia była dla niej dużą przykrością. Za trzecim razem popłynęła trochę dalej, za most, i wracając piechotą zauważyła na moście, od

przeciwnej strony niż leżała plaża, znajomą sylwetkę i taneczny krok. Boguś szedł mostem razem z Halinką — widać Halinka do cioci jeszcze nie wyjechała. Szli w stronę stacji rozmawiając wesoło. Pani Marta wróciła do miejsca, gdzie zostawiła swoje ubranie, pod dużym krzakiem jeżyn, obok zarośli wiklinowych. Usiadła zmiażdżona i nie mogła oprzytomnieć. Zdała sobie sprawę z charakteru swoich uczuć do Bogusia i skonstatowanie tego faktu spowodowało uderzenie jak obuchem w łeb. Trzęsa się jak w febrze. Tyle lat spokój i smutek panowały w jej sercu. I teraz, kiedy czuła w sobie zarodek śmiertelnej choroby, postać (bo 30 Opowiadania co innego?) młodego chłopca, który był młodszy od jej dzieci, sprowadziła taki zamęt w jej duszy. Gotowa była przeklinać Bogusia. Chociaż z drugiej strony powtarzała sobie: a co on winien? Siedziała tak długo. Przez plażę przechodziły różne osoby, żołnierze kąpiący się w gaciach, dzieci. Chłopcy nieśli pęki tataraku, stamtąd, z łąk, gdzie leżały małe relikty wodne, resztki chronicznych powodzi. Jutro miały być Zielone Świąta, tatarak niesiono do umajenia domów. Siedziała długo. „I po tym trzeba będzie jeszcze żyć? — myślała. — To straszne, lepiej umrzeć od razu.” Nagle usłyszała jakiś głos nad sobą: — Proszę pani, proszę pani. Spojrzała w górę, na moście stał uśmiechnięty Boguś. — Przepraszam, że się spóźniłem — wołał do niej przechylając się przez kratę — ja zaraz zejdę. Narwiemy tataraku. Pani Marta skinęła ku niemu rękę. Podniosła zielone pasmo wodnej rośliny, którą upuściło przechodzące dziecko. Powąchała wonny liść. Przepadała za tym zapachem. Potem podniosła się i poszła w stronę, skąd miał przyjść Boguś. Czekwała chwilkę, aż wyłonił się spomiędzy wiklin. Zdołał się już rozebrać i szedł ku niej swoim tanecznym krokiem, zupełnie nagi w malutkich slipach cytrynowego koloru. Nie był opalony i ciało jego było białe i miękkie jak jedwab. Mimo to spostrzegła, że jest niebywale pięknie zbudowany. Harmonia linii opisującej jego piersi i uda była tak doskonała, że pani Marcie odebrało mowę. W milczeniu podała Bogusowi rękę, której ten nie ucałował. Patrzył jej prosto w oczy. Jego brzydka twarz, osadzona na tak pięknym ciele, nabierała innego wyrazu. „Byle tylko nic nie mówić” — pomyślała Marta. Ale Boguś mówił. — Przepraszam, że się spóźniłem. Ale musiałem odprowadzić Halinkę na dworzec. — Więc ona nie wyjechała? — Nie miała pieniędzy na bilet. Musiałem jej oddać wszystko, co miałem, i zostałem bez grosza. Uśmiechnął się tak promiennym uśmiechem, że twarz mu się odmieniła. Uśmiech opromieniał całe ciało. :— Dam ci pieniędzy — powiedziała Marta. — Naprawdę? — ucieszył się Boguś. To było okropne. Marta chciała jak najprędzej zamazać tę pospolitą, straszną rozmowę. Chciała jego i siebie odosobnić od całego świata. Chciała go okryć zielonym namiotem liści. I żeby milczał. Nagle plaża, most, wołające przeciągle dzieci, kąpiący się żołnierze stali się nie do zniesienia. Nie chciała spojrzeć na widoczne stąd domy miasteczka. Gdzieś w dole rzeki wołała wilga. Na białodrzewie, niedaleko mostu, migąta złota jej łuska. Pani Marta trzymała Bogusia za rękę. — Chodźmy, narwiemy na jutro tataraku — powiedziała i pociągnęła go w stronę łąk. Wzdłuż rzeki, między brzegami porośniętymi wikliną a szerokimi połaciami trawy, pokrytymi w tej chwili gęstą siecią stokroci — ciągnęły się owe większe i mniejsze „oczka” stojącej wody. Były to resztki jakichś dopływów, których ujścia się zamuliły, lub dziury, które wypełniały wezbrane fale powodzi. Wśród tych „oczek” niektóre tworzyły prawdziwe jeziorka, malownicze, zarośnięte tatarakiem i okryte wachlarzami płaskich liści lili wodnych. Odbijały się w ich zielonawej wodzie jak w lustrze wysokie, przyszczyżone wierzby, zarośla wiklinowe i białe obłoki — w wodzie zabarwiały się one zielonkawo — spokojnie sunące po wysokim niebie. Mijali je w milczeniu. Nad jednym z tych jezior, położonym daleko od drogi i oddalonym nieco od innych, stał wielki białodrzew. Kiedy przechodziło się koło niego, nawet w bezwietrzny dzień, liście drzewa szeleściły bezustannie. M* 467 Była to osobliwa muzyka, którą nade wszystko lubiła pani Marta. Tam się więc skierowała teraz z Bogusiem. W jednym końcu długiego, ciemnego i zapewne bardzo głębokiego jeziorka na brzegu było nieco białego piasku — taka mała plaża. Tam rzucili zabrane ze sobą ubrania i zostali w kostiumach. Dzień był gorący, ale świeży. Była już jakaś szósta po południu. Boguś miał na sobie tylko te wąskie slipy cytrynowego koloru. Pani Marta wciąż była wstrząśnięta doskonałością jego kształtów, do których tak nie pasowała twarz pergamońskiego barbarzyńcy z małym, wzniesionym w górę nosem. Boguś leżał płasko na piasku, patrząc na rzadkie obłoki, wypytywające nad jezioro. Żaby skrzeczały gwałtownie, ale w innych jeziorkach, trochę dalej. W wiklinach nad rzeką bez żadnej przerwy kwiliły z przesadnym patosem słowiki. Milczeli. — O czym myślisz? — spytała pani Marta. — O niczym — z nieprzyjemnym pośpiechem powiedział Boguś. — O Halinie? — powiedziała ona. — O Halinie — potwierdził chłopak i usiadł. — Masz całe plecy w piasku — oburzyła się Marta. — Daj, oczyszczę cię. — I zaczęła otrzepywać skórę Bogusia. — Przecież zaraz się o p łuk ę — zniecierpliwiał się Boguś. Marta nie słuchała i starannie gładziła plecy chłopca. Potem mocno przytuliła do nich policzki. — Co pani robi? — zaniepokoił się Bogusław. Szybko się odwrócił.

Marta cofnęła głowę i odchyliła się w tył. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie Boguś przyciągnął głowę Marty do siebie i pocałował w usta. Pocałunek trwał długo. Kiedy oderwali wargi od warg, z kolei pani Marta powiedziała: — Co ty robisz, Boguś? Boguś uśmiechnął się i powiedział leciutko: — Pani jest taka dobra. Marta zapłonęła rumieńcem. Zirykowało ją to powiedzenie. :— Mężczyzna nigdy nie powinien mówić kobiecie, że jest dobra... — A co ma mówić? — naiwnie, ale z pewnym zniecierpliwieniem powiedział Boguś. — Nic — przez zęby syknęła pani Marta i odwróciła się. Siedzieli przez chwilę naprzeciwko siebie w milczeniu. Wreszcie Boguś westchnął. — Trzeba nabrać tego zielska — zdecydował. Zerwał się i wskoczył do jeziora. Z miejsca była tutaj głębina. Nurkował, wypłynął na środek i po chwili znajdował się już w drugim końcu, gdzie rosły zielone pędy wonnej rośliny. Pani Marta została sama na brzegu. Serce jej ścisnęło się rozpaczą. Właściwie, tak przynajmniej myślała, nie zostało jej nic innego, jak popełnić samobójstwo. Wszystko przepadło. Kiedy Bogusław przepłynął jezioro z powrotem i zjawił się przed nią z pękiem tataraku, spojrzała na niego jak na jakąś obcą, nie znaną istotę. „Jedno z nas musi umrzeć” — pomyślała. I wyobraziła sobie, jak nieskończoną ulgę uczułaby, gdyby tego chłopca nie było. Nie byłoby wtedy człowieka na ziemi, który by znał jej tajemnicę. Piekąca męka i piekący wstyd ustąpiłyby, nie istniałyby po prostu. — Niech pani trzyma — zawołał Boguś wesoło i bynajmniej nie zmieszany tym, co zaszło. — Ja jeszcze przyniosę. I rzucił do stóp Marty cały pęk zielonych pędów. „Przyzwyczajony do takich rzeczy” — z goryczą pomyślała Marta i nie chciała spojrzeć na Bogusława. Patrzyła na snop zielonej rośliny leżący na piasku. — Chyba będzie dosyć — powiedziała. — Nie, za mało. Potem pani będzie narzekać, że jestem leniwy — zaśmiał się Boguś i nagle objął ją za szyję i lekko musnął wargami jej wargi. Marta chciała go zatrzymać. — Zaraz, zaraz — powiedział porozumiewawczo — tylko przyniosę jeszcze tego świństwa. Oderwał się od niej i z rozbiegu skoczył do ciemnej wody. Znikł pod nią i długo się nie wynurzał. Wreszcie Marta ujrzała jego głowę w samym środku wodnego oka. Posuwał się naprzód powoli i jak gdyby z trudem. — Co mu jest? — powiedziała do siebie Marta. Ale Boguś dołynął spokojnie do końca. Jego ramiona klasycznie wynurzały się z wody i dłonie elegancko klepały powierzchnię. Drobne bryzgi wylaływały spod jego palców. Marta widziała, jak osiągnął dno, stanął przy tatarakach i wrywał długie pasma. Oczywiście z zielonym snopem trudno mu było płynąć z powrotem. Mógł wiosłować tylko jedną ręką. Toteż posuwał się powoli. — Co mu jest? — powtórzyła Marta. Nagle w środku jeziora poszedł pod wodę. — Po co on nurkuje? — zaniepokoiła się doktorowa. Głowa Bogusia wynurzyła się na chwilę z topieli. Było to dość daleko, ale Marta spostrzegła w jego oczach coś jakby przestach. Zerwała się na równe nogi. Boguś znowu się schował. A kiedy się wynurzył, uczynił ręką w stronę Marty gest przerażający. Tonął. Marta wskoczyła do wody i płynęła w jego kierunku. Nic nie widać było nad wodą. Na samym środku jeziora Marta zanurzyła się w głęboką, zimną wodę. Otworzyła oczy i ujrzała owo zielonawe, mętne światło, jakie zazwyczaj widzi się nurkując. Rękami falowała tu i ówdzie starając się natknąć na ciało topielca. Ale nic nie znajdowała. Poszła jeszcze głębiej. Nie mogła wytrzymać bez oddechu i już szła ku górze zamknąwszy powieki, kiedy o ciało jej musnęły bezwiednie i bezsensownie przebierające ręce. Podążyła za nimi i chwyciła jakieś ciało. W tej chwili dwa mocne ramiona otoczyły jej szyję. Chciała wraz z nimi wypłynąć na powierzchnię. Ale ramiona ciążyły, cisnęły i ciągnęły ją w dół, na dno. Traciła oddech i za chwilę mogła się napić wody. Wówczas jednym uchyłem głowy w dół wyciągnęła szyję z dławiących ramion i podbiwszy się lekko w górę wypłynęła. Była pod samym brzegiem. Nie pamiętała, jak wyskoczyła na piasek. Obejrzała się na jezioro: pośrodku czerniejącej wody bulgotało coś przez chwilę i pojawiły się pęcherze. Zakryła oczy rękami. Gdy je odjęła, woda była gładka. Wskoczyła na wał nadbrzeżny i biegła nim krzycząc: — Ratujcie, ratujcie! Zza wierzb wyleciało dwóch chłopaków, którzy tam kosili łąkę. Krzyknęła do nich, wskazując na jezioro. — Tam, pod wysokim drzewem! Boguś się utopił! — wołała. Chłopcy biegli prędzej od niej i kiedy doleciała do jeziora, już się rozebrali i skakali do wody. Zaczęli nurkować, systematycznie obszukując dno. Wynurzając się pohukiwali na siebie. — Po samym środku, po samym środku! — wołała Marta. Chłopcy przemierzali całe „oko” wodne do końca i potem ruszyli z powrotem. Nagle jeden z nich, Stasiak, zakrzyknął wynurzając się: — Jest, jest! — Ciąg za włosy, ciąg! — wołał drugi. Obaj zanurzali się i wynurzali w jednym miejscu, aż potem razem płynęli ku Marcie ciągnąc pod wodą jakiś ciężar. Dobili do brzegu i wylazszy na wierzch wyciągnęli Bogusia. Przewalili go przez cembrowinę i wyciągnęli ze strasznym trudem na piasek. Trwało to wszystko z pół godziny. Zaczęli mu robić sztuczne oddychanie. 'ł Woda wylewała się z ust topielca, ale nie dawał znaku życia. — Czeka! — powiedział Stasiak — poletę po chłopaków, trzeba go pobujać. — Ja z tobą — krzyknął drugi, niepewnie zerkając na ciało. Widział chyba, że daremne ich trudy. Boguś był zresztą dobrym pływakiem.

Musiąo go chwycić serce. A wtedy wszelkie „bujanie” było zbędnym trudem. — Pani tu popilnuje — powiedział Stasiak. Wrzucili na mokre ciała bieliznę i pognali. Słuchać było jeszcze przez chwilę ich pokrzykiwania. Bose ich stopy dudniły po ubitej powierzchni ochronnego wału. I oto nad jeziorkiem zapanowała śmiertelna cisza, której nie mąciły okrzyki oddalających się chłopców. Ciało Bogusia leżało na piasku obok pęków tataraku, tak jak je porzucili ratownicy. Ramiona miał rozrzucone na krzyż i na włosach pod pachami błyszcząły okrągłe, zielonawe krople. Otwarte oczy nie patrzyły i były matowe jak u starożytnych posągów. Z rozdziawionych ust wyciekał wąski strumień wody czy śluzu. Pani Marta siedząc w kucki w pobliżu ciała przypatrywała mu się z napięciem, jakby na wieki chciała zawrzeć w oczach zarysy nieprawdopodobnej piękności. Cała postać topielca powlekała się jakby celofanem obcości i sztywności, ciało to z minuty na minutę przestawało być człowiekiem. W jasnym słońcu czerwcowego dnia błyszcząły ostrym kolorem żółte, szczelnie obciśnięte kąpielówki, których barwę tylko nieco przełamował zielony nalot zgniłej wody. „Dlaczego nie utopiłam się z nim razem? — myślała pochylając się nad ciałem. — Czy chciałam żyć? Żyć dalej — po co?” I bez przerwy powracała w jej pamięci chwila, gdy jednym gwałtownym ugięciem wysliznęła szyję z jego dławiących uścisków. — Żyć? — powtarzała. — Żyć! Zrazu ostrożnie dotknęła jego piersi. Skóra topielca szybko wysychała, choć słońce zniżyło się już ku zachodowi. Poczwała pod palcami coś zimnego, jak gdyby marmur. Ściągnięte mięśnie wypinały skórę. Każda linia przeprowadzona po tych wypukłościach była skończenie piękna. Pani Marta przyłożyła usta w miejscu, gdzie na przełęczu pomiędzy dwoma wzgórkami porastał delikatny puszek. Już i on wysechł. Kobieta stopniowo przeniosła swoje wargi poniżej piersi, gdzie przebiegały najpiękniejsze mięśnie gorsu, a potem nagłym poruszeniem zaczęła całować piersi, przeponę, brzuch, pępek i w gwałtowności pocałunków, którymi obsypywała zmarłego, schodziła coraz niżej. Całe to zimne i kształtne jak rzeźba ciało pachniało tatarakiem. Ale kiedy pani Marta poczuła pod wargami rąbek żółtych slipów, do nozdrzy jej doleciał zapach błotnistego łu, gnijących rybich łusek i woń błota — aromat śmierci, która miała się stać niebawem również jej udziałem. 1958 TATARAK Andrzejowi Brustmanowi Tatarskie ziele ma dwa zapachy. Jeżeli się potrze w palcach zieloną jego wstążkę, miejscami przymarszczoną, poczuje się zapach, łagodną woń „wierzby ocienionej wody”, jak mówi Słowacki, trochę tylko zatracającą wschodnim nardem. Ale kiedy się takie pasmo tataraku rozetrze, kiedy się włoży nos w bruzdę, wyłożoną jak gdyby watą, czuje się obok kadzidlanej woni zapach błotnistego łu, gnijących rybich łusek, po prostu błota. Zapach ten na początku mojego życia skojarzył się z obrazem gwałtownej śmierci. W dzieciństwie tatarakiem wykładano podłogi sieni i balkonu, panował on niepodzielnie w dniach wesołych i naprawdę Zielonych Świąt. A jednocześnie przypomina mi on zawsze śmierć mojego pierwszego przyjaciela, który nosił dziwaczne imię Gracjan i utopił się mając trzynaście lat. To było o świtaniu mojego życia, we wczesnym dzieciństwie. Ale i dzisiaj wywołuje ten podwójny zapach niewesołe myśli. Koniec ma jakieś tajemnicze związki z początkiem. Ton, dźwięk, woń jak echo odpowiadają z końca w koniec żywota. Zapach dzieciństwa odnajduje odpowiednik w zapachu starości, młodość odbija się w zielonym lustrze wieku dojrzałego. Taką jest w moim życiu historia tataraku. Na ogół ludzie się dziwią, że aby uciec od zgłębku miast i podróży, aby oderwać się od nużących i jałowych zajęć, spędzam część lata (raczej późnej wiosny) w małym miasteczku Z., położonym nad wielką rzeką. Oprócz rzeki i łąk nadrzecznych, oprócz nadbrzeżnej wikliny, oprócz lekkiej konstrukcji mostu, który łączy dwa brzegi — w miasteczku nie ma dosłownie nic. Zakurzony rynek, parę domów i domków — owszem, jest dużo ogrodów i sadów, które są jedyną ozdobą osiedla. Dla mnie największą atrakcją jest to, że mogę tam mieszkać (w przytułku dla starców!) nie podając nikomu mego adresu, nie męczony telefonami i depeszami, otrzymując codziennie listy od żony. Mam też jeszcze jedną atrakcję, której ludzie mniej mnie znający przypisują większe niż ma naprawdę znaczenie: jest nią przyjaźń z doktorową M. Jest to prawdziwa przyjaźń, poparta wielkim argumentem tego, że widzimy się raz na rok dwa lub trzy tygodnie, nie pisujemy do siebie i nie jesteśmy zupełnie zainteresowani w naszych żywotach. Pomaga to zarówno szczerości naszych wyznań, jak też pewnemu wzajemnemu egzaltowaniu swoich charakterów. Jesteśmy dla siebie zawsze czymś osobliwym, w ciągu całych dwudziestu pięciu lat naszej znajomości. Doktorowa M. — p. Marta — straciła w czasie okupacji dwóch synów i teraz jest zupełnie samotna. Mąż potwornie zapracowany. Oprócz szpitala ma olbrzymią praktykę wokół miasteczka. Dawniej widywałem go na chłopskich furkach jadącego po 15, 20 kilometrów do chorych. Teraz ma samochód i może odwiedzić w ciągu dnia znaczną ilość pacjentów. Wpływa to dodatnio na poziom codziennego życia doktorostwa. Mimo tego „poziomu”, pewnej łatwości życiowej, pani Marta odczuwa bardzo swoje opuszczenie. Parę tygodni mojego pobytu w miasteczku Z. nie może zaradzić jej uczuciu zbędności

istnienia. Trzeba zresztą dodać, że pani Marta nigdy nie narzeka, nie daje wyrazu swoim uczuciom. Pilnie zajmuje się domem, przyjmuje telefony, zapisuje pacjentów i stara się, aby zziądany doktor przychodząc do domu zastawał ład, spokój i zewnętrzny wygląd mieszkania doprowadzony do najwyższego porządku. 29* Dom doktorstwa — to staroświecki dworek, jakich jest wiele w miasteczku. Niewygodny rozkład obszernych pokoi sprawia, że nikt nie może tu mieszkać oprócz doktorstwa. Pokój chłopców zamknięty jest na klucz i nikt tam nie zagląda. A inne pokoje, niskie, ale jasne, zastawione są mnóstwem staroświeckich mebli i doniczek z egzotycznymi roślinami. Doktorowa przyjmowała mnie zawsze w salonie, gdzie stoi garnitur simmlerowskich mahoniowych mebli, krytych szafirowym pluszem, gdzie wisi na ścianie parę oleodruków i portret pani Marty, sporządzony przez miejscowego malarza, który powąchał kiedyś paryskiego powietrza. W czarnych żardinierach gęsto zieleniały rośliny, jakby zrobione z jedwabiu i blachy. Ogromny fortepian, przez nikogo od wieków nie tykany, stał tu także. Na podłodze leżał czerwony dywan, przedstawiający kobietę niosącą dwa wiadra wody na koromyśle. Nie był to pokój stworzony do zwierzeń. A jednak tu mi opowiadała pani Marta historię swego życia. Tu też — ostatnio, kiedy skonstatowano u niej objawy chronicznej a nieuleczalnej choroby — opowiedziała mi sprawę, która jest przedmiotem niniejszej relacji. Oczywiście, spisałem to wszystko jak literat, uzupełniając, dodając to, co sobie wyobrażałem — i nawet czasami, prawem od bardzo dawna uświęconym, a w gruncie rzeczy nie umotywowanym, zaglądając do wnętrza działających osób. Być może potraktowałem całą sprawę zbyt dramatycznie, jak gdyby było tu coś wyjątkowego. A przecież to historia codzienna, jakich tysiące zdarzają się po naszych miastach i miasteczkach. Pani Marta nigdy nie bywa na „przystani”. Tak się nazywa dość duży drewniany budynek, stojący w pewnym oddaleniu od rzeki. Składa się on z dwóch sal. W jednej z nich stoi bufet, gdzie sprzedają papierosy, piwo i znakomity tutejszy „płynny owoc” — gospodarczą podstawę tego pełnego sadów rejonu — a obok sal istnieje duży taras, a raczej drewniany pomost, na którym odbywają się tańce. Wszystko to stoi jak chatka na kurzej nóżce na wysokim podmurowaniu, które zabezpiecza „przystań” przed porwaniem przez wezbrane wody powodzi. • Ten taras właśnie jest największą atrakcją miasteczka Z. Tu przychodzi wytańczyć się i wyszumieć młodzież znudzona monotonią pracy czy nauki w położonym daleko od wszelkich centrów kulturalnych mieście. Dzieje się to zwykle w soboty i niedziele. Przy czym w soboty obowiązuje chłopców strój bardziej swobodny, kolorowe kraciaste koszule i potargane „egzystencjalistycznie” czupryny. W niedzielę natomiast włosy są pobożnie przygładzone, koszule są białe i marynarki ciemne. W jednym i drugim stroju chłopcy piją „płynny owoc” i wbrew temu, co się mówi o pijaństwie w Polsce, wódki z sobą nie przynoszą. Są na to za ubodzy. Grają także w bridża, po pół grosza punkt. Dziewcząt jest zazwyczaj bardzo mało, tyle tylko, ile do tańca potrzeba. Gdzie mogła zaprowadzić pani Marta przybyłą ze stolicy przyjaciółkę? Cóż jej miała pokazać w zrujnowanym przez wojnę miasteczku? Oczywiście zaprowadziła ją na „przystań”. Księżyc świecił, rzeka połyskiwała, czasami głośniejszą kłapnęła fala o brzeg. Ale nikt nie patrzył w tamtą stronę. Na drewnianym tarasie tańczyły pary, chociaż megafon chrząkał niemilosiernie. W środku prawie wszystkie stoliki były zajęte. Młodzieńcy grali w bridża. Panie zajęły wolny stolik z boku i rozejrzały się po sali. W kącie za „szynkwasmem” uprzejma blondyna sprzedawała wodę sodową i ów „płynny owoc”, sławę miejscowej przetwórni. Trzeba było sobie samemu przynosić te butelki. Pani Marta skierowała się do bufetu i wzięła dwie butelki jabłecznego soku. Wracając do swojego stolika mijają grupę grających. Jeden z chłopców, uderzając kartą o stół, wysoko podniósł rękę i trącił butelkę niesioną przez panią Martę. Butelka omal nie wyśliznęła się jej z rąk, a chłopak podniósł na nią oczy i przeprosił uprzejmie. Pani Marta usiadła obok przyjaciółki i milczała przez chwilę. Potem rozlała do szklanek płyn o pięknej, dojrzałej barwie i znowu się zamyśliła. Spojrzała w stronę, gdzie siedział ów chłopiec, który ją potrącił. Zwrócony do niej bokiem, ukazywał swój profil nieregularny, o zgniecionym nieco, jak u boksera, nosie. Miał obfite włosy, zaczesane do góry. Ręka, w której trzymał karty, palce drugiej ręki, którymi przebierał po damach i waletach wahając się, czym ma zabić lewę, były piękne i smukłe. Znajdowały się one w wyraźnym kontraście ze złamanym nosem, dość dużą, masywną głową i wulgarnie rzeźbioną szyją, wynurzającą się z czerwonej koszuli (była sobota). Pani Marta szybko spostrzegła, że z ową „przyjaciółką” niewiele mają sobie do powiedzenia. Łączyły je kiedyś wspomnienia młodości, ale pani Marta zauważyła, że od jakiegoś czasu nie znosi wspomnień. Postarzały ją one — i mówiły o wszystkim, co się obróciło w proch. A w pani Marcie żyły jeszcze jakieś niejasne nadzieje na dzień dzisiejszy. Słuchała więc opowiadań przyjaciółki, która miała czworo dzieci rozsianych po wszystkich częściach świata, otrzymywała od nich paczki i listy i uważała za stosowne poinformować panią Martę o tym wszystkim bardzo szczegółowo. Doktorowa słuchała piąte przez dziesiąte, od czasu

do czasu zadawała jakieś pytanie, a nudząc się obserwowała chłopców grających w karty. W pewnej chwili zobaczyła niezwykle uroczą dziewczynę, jak szybkim krokiem weszła na salę (o ile tak można nazwać niskie i drewniane pomieszczenie „przystani”) i zatrzymując się przy tamtym stoliku położyła rękę na ramieniu chłopca, który uderzył w butelkę pani Marty. Chłopiec się odwrócił — i wtedy pani Marta ujrzała jego twarz en face. Nie odpowiadała ona zupełnie — jak to czasem bywa — jego profilowi. Szeroka, o wystających kościach policzkowych, miała ta twarz w oczach jakiś specjalny błysk, który zainteresował panią Martę. Powiedział parę słów do przybyłej dziewczyny, potem znowu zwrócił się ku kartom. Ona powstała chwilę nad nim, jakby się wahała. Potem powoli odeszła. Ubrana była w czarny sweter i kolorową spódnicę. Miała nawet włosy upięte w modny „koński ogon” — a jednak było w niej coś opuszczonego i zaniedbanego, jakaś omdłałość ruchów, jakieś zniechęcenie w całej postaci. Obcisnięty sweter ukazywał piękne linie ciała, ruchy miała trochę kocie, skradające się a obojętne. Mogła bardzo interesować. Chłopak przerwał grę w karty i ku oburzeniu kolegów wybiegł za dziewczyną. Zastąpił go mały, chudy, przebiegły chłopczek, który kibicował przez cały czas przy bridżu i widocznie tylko czekał na nadarzącą się okazję, aby wpakować się na opuszczone miejsce przy stoliku. Pani Marta z przyjaciółką także wkrótce wyszły. Nazajutrz poszły na daleki spacer wałami ochronnymi rozciągającymi się wzdłuż rzeki na całe kilometry. Jediną rzeczą, która miała w miasteczku jakiś charakter, była ta rzeka. Jej piękno mogło okupić kurz, brud i pospolitość małomiasteczkowych uliczek. Kiedy się schodziło nad wodę, zapominało się nie tylko o domach, ale i o ludziach. Szeroka i majestatyczna, płynęła rzeka wielkim łóżykiem, obrzeżona z obu stron zaroślami wiklin. I to nawet, że zaraz z początkiem lata wyłaniały się z szarawej wody mielizny, niby obłe grzbiety potworów, nie pozbawiało jej owego majestatu. Gdy się stało na brzegu, czuło się siłę i wartkość prądu, który po deszczach wzbierał pianą i szybko pokrywał wyłonięte piaski. Widok rzeki był zbyt potężny i jakby nieludzki. Pani Marta wołała, idąc wałami ochronnymi, położonymi dość daleko od głównego koryta, oglądać zielone łąki wynurzające się spod wiklin jak inna, łagodniejsza woda. Wzdłuż wału ciągnęły się nie zarośla, ale gaiki wierzbowe, gdzie odróżniało się już poszczególne osobniki. Od czasu do czasu spośród wierzb strzelał ku górze olbrzymi, stuletni pień białodrzewu. Gdy się przechodziło koło takiego olbrzyma nawet w bezwietrzny pozornie dzień — koronę jego napełniał zawsze swoisty, muzykalny szelest, nie tak suchy, jak szelest starych palm. Zresztą i tu także znajdowały się okrągłe zarośla wikliny i iwy. To było w tych miejscach, gdzie na łące tworzyły się duże stawki, „oka” porośnięte rzęsą i trzcinią, pełne wodnych lilii i grążeli. Pani Marta specjalnie lubiła zatrzymywać się przy tych wodnych zbiornikach, ciemnych i niezmiernie głębokich. Czasami na dnie takiego jeziora było podwodne źródło, zaznaczając się na powierzchni bąblami i kręgami na wodzie. Zwłaszcza pociągały ją te „oka”, które, otoczone gęstą gmatwaniną wiklin, na brzegach zarosły tatarakiem, ukryte jak gdyby przed człowiekiem, pociągały go tajemniczością i tym, że na ich brzegu osiągało się zupełną samotność. Zdawało się nad takim jeziorkiem, że się jest zupełnie poza życiem. Kiedy pani Marta ze swoją przyjaciółką wyszły na wał, było olśniewające majowe popołudnie. Niebo było bezchmurne, a wierzby stały nieruchomo. Tylko białodrzewy szeleściły. Przyjaciółki szły w słońcu po miękko wygiętej linii wału. Po lewej stronie ku łąkom spadało zbcze niebieskie od niezapominajek, po prawej w kwitnących sadach stały domki ogrodników i błyszcząły okna inspektów. Pani Marta znowu obojętnie słuchała słów swej dawnej koleżanki. W pewnym momencie ujrzała siedzącą na skraju wału parę. Byli to owi znajomi z przystani. Dziewczyna miała na sobie jasną sukienkę, chłopiec koszulę koloru khaki, byli codzienni, powszedni. Dziewczyna mówiła coś przekonywająco, chłopiec gryzł trawkę i odwracał się w stronę rzeki, która w tym miejscu przebijała niebiesko przez zarośla wikliny. Pani Marta ujrzała ich z daleka i zwróciła uwagę na styl ich rozmowy. Kiedy dwie kobiety zrównały się z siedzącymi, młodzi zamilkli. Gdy panie wracały ze spaceru — już ich na brzegu wału nie było. Pani Marta wiedziała, w jakim miejscu siedzieli, i ujrzała tam zgniecione koniczynki i niezapominajki. Po paru dniach przyjaciółka wyjechała. Któreś z jej dzieci miało przyjechać z Ameryki, musiała być w Warszawie. Pani Marta znowu została sama. I pewnego popołudnia wybrała się na przechadzkę wałem. Zdawało jej się, że znowu spotka tę parę, która ją fascynowała swoją urodą i młodością. I rzeczywiście, prawie w tym samym miejscu, co wtedy, siedział ów młodzieniec, ale bez dziewczyny. Pani Marta już wiedziała, jak się nazywa i co robi: był to Bogusław K. i pracował od dość dawna, choć miał może dwadzieścia pięć lat zaledwie, w zarządzie wodnym. Boguś był bardzo popularny w mieście i znał go każdy. Pani Marta też była wszystkim znana. Toteż, kiedy uważnie popatrzyła na chłopca, ten zarumienił się i pozdrowił ją. Pani Marta zatrzymała się przy nim. — I cóż to dzisiaj pan sam? Boguś zarumienił się jeszcze bardziej i chciał wstać. — Niech pan siedzi, niech pan siedzi — powiedziała pani Marta — ja też usiądę. To jest

prześliczne miejsce. Usiadła na trawie i popatrzyła. Przed nimi stał wysoki rozłożysty białodrzew. Wiatr ukazywał jasną podszewkę jego liści. — Sam pan? — powtórzyła swe pytanie pani Marta. — Halinka wyjechała — niechętnie bąknął Boguś. Pani Marta z przyjemnością skostatowała, że głos ma niski i bardzo uroczy. Było bardzo gorąco i Boguś miał na sobie tylko sportową koszulkę. Miał piękne ramiona — ale twarz z załamanym nosem z bliska zdawała się bardzo brzydka, a nawet dzika. Pani Marta przyglądała się uważnie Bogusiowi. — Kto to jest Halinka? — spytała. — To nieważne — powiedział Boguś tym uroczym głosem, uśmiechając się. Mimo różnicy wieku pani Marta, siedząc obok Bogusia, poczęła myśleć o swoim ciele. Czy on by mógł znaleźć jaką przyjemność w jej rozkwitłej — i przekwitłej — urodzie? Odczuła nagle, a tak dawno o tym nie myślała, swoje biodra, uda; pomyślała o swoich piersiach. „On nawet nie wie, jak ja wyglądam.” I przypomniała sobie, że nałogowa po prostu mania gimnastykowania się pozwoliła jej zachować do dojrzałego wieku prężność mięśni i elastyczność skóry. Piersi miała zawsze nieduże, stąpała szybko i równo. Czy to by się jeszcze podobało? Zawstydziała się swoich myśli, panowało między nimi chwilowe milczenie. — Ona jest studentką — powiedział nagle Boguś nie patrząc na Martę — i strasznie się mądrzy. A ja przecie jestem prosty chłopak... W głosie jego brzmiał wyraźny żal. Marta nie miała ochoty wysłuchiwać jego zwierzeń. — Czy pan ma rodziców? — spytała. — Nie mam — odpowiedział — zginęli w powstaniu. Babcia mnie wychowała. — Wychowała chłopca na schwał — powiedziała z przekonaniem pani Marta i zaraz się połapała. „Skąd mi do głowy przychodzą takie głupie rzeczy?” — Gdzie się pan uczył? — spytała rzeczowo, dla zatarcia tamtego niemądrego zdania. Boguś popatrzył na nią z niechęcią. Wyglądał, jakby myślał: „Przecież nie jestem na egzaminie.” — W Elblągu — powiedział — na wodniaka. — A nie chciałby pan czego innego? — Zaczyna pani — dość niecierpliwie powiedział Bogusław — jak Halina. Nic ze mnie innego nie będzie, rozumie pani? Nic. Jestem urodzony na wodniaka — mierniczy wodny i już. — A ona czego chce od pana? — spytała Marta, ucieszona ostrym tonem chłopca. Nie zauważył nawet tamtego idiotyzmu. — No, chce, żebym czytał książki i chodził z nią nad rzekę przy księżycu. — A pan woli bridża? — Pewnie. — Widziałam pana wówczas na „przystani”. — No, właśnie. Dołem, u stóp wału pędzili krowy. Objedzone, z pozielenionymi wysoką trawą wymionami szły pomału i nie poddawały się woli poganiaczy, wołających co chwila: „a nu!” Jedna z nich trzymała w pysku pęk niezapominajek — i nie połykała go. Pani Marta położyła swą dłoń na ręce Bogusia. — Ja bym też chciała, żeby pan się uczył, żeby pan czytał książki. Boguś nie zabrał swej ręki, komar gryzł go w ramię, pani Marta zabiła go, kropla krwi ukazała się na pięknej okrągłości mięśnia. — Ja czasem czytam — głębokim basem powiedział Bogusław — ale nie mam skąd brać. Kupować nie mogę. Jeszcze babce muszę posyłać forszę — dodał jak gdyby dla wyjaśnienia. — Niech pan bierze książki ode mnie — powiedziała niespodziewanie dla samej siebie Marta. — My mamy trochę książek. Mój mąż sprowadza i kupuje w Domu Książki, a sam nie ma czasu na czytanie. Leżą najczęściej nie rozcięte. — Dziękuję — zmieszał się Boguś, który bynajmniej do książki się nie palił. — Kiedy pan przyjdzie? — spytała Marta. Nic jej nie powiedział. Siedział nachmurzony i gryzł trawkę. Dotknęła jego przedramienia. Nie zauważył tego, myślał o swoim. Nagle wybuchnął: — Bo jej się zdaje Bóg wie co. Ona będzie profesorem uniwersytetu i powiada, że jej wstyd takiego nieuka. Niech sobie będzie nieuk. Mnie tam żadnej filozofii nie trzeba. Mnie jest dobrze, jak jest. Chce iść za mnie za mąż, to dobrze, a nie chce, to drugie dobrze. Marta zdziwiła się: — Pan jeszcze za młody na małżeństwo. Boguś spojrział na nią z pewną irytacją. — Za młody, za młody — powtórzył — ona tak samo mówi. Ja inny nie będę. — Niech pan przyjdzie jutro — powiedziała na to dość natarczywie Marta i wstała. Boguś też się zerwał. — Pan wie, gdzie my mieszkamy? Za Krakowską Bramą. Podała mu rękę. Widziała w wycięciu koszulki, jak mu drgała skóra na piersi. — Pan pływa? — spytała. — Pływam, oczywiście — odpowiedział i pocałował ją w rękę. — To może spotkamy się kiedy nad rzeką? — spytała. Boguś nic nie odpowiedział. Był trochę zdziwiony, ale nie zmieszany. Pani Marta okazała niezły humor przy kolacji. Doktor był bardzo zmęczony, ale się rozchmurzył. Mówili o bieżących sprawach, ale z pewnym ożywieniem, którego już dawno nie było przy ich smutnym stole. Wspólne ich pożycie od dawna już nie miało sensu. Pani Marta spełniała wszystkie obowiązki dobrej gospodyni, ale w kuchni panowała stara Zosia, która wychowywała chłopców — i teraz jakby z litości została przy rodzicach. Układanie kwiatów w wazonach i przyjmowanie telefonów to nie była zbyt absorbująca praca. Pani Marta odczuwała tę pustkę, ale nie umiała jej zaradzić. Od czasu do czasu sprowadzała jakąś dawną koleżankę ze stolicy, ale najczęściej taka osoba uciekała z domu doktorostwa po kilku dniach. Jedna z nich puściła taką gadkę po Warszawie: „Nie mogę wytrzymać w takim ibsenowskim nastroju.” I określeniem atmosfery domu pani Marty odpędziła chętne jeszcze do tej wizyty przyjaciółki.

A doktor nie miał wielkich wymagań: lubił dobrze zjeść, a niedzielami czytał gazety i pisma medyczne. Z żoną nie rozmawiał na żadne tematy, zresztą był tak ogłupiony nadmierną pracą i zbijaniem pieniędzy, że po prostu nie miał dość sił wieczorami, aby usta otworzyć. Tego dnia jednak coś się między nimi odmieniło. To chwilowe ożywienie obojgu sprawiło niespodziankę — i siedząc naprzeciwko siebie jak gdyby ujrzeni siebie na nowo. Doktora to bardzo zainteresowało. Ujrzał, jak Marta podnosi obie ręce do głowy i poprawia sobie włosy z tyłu. Był to dawny, zapomniany gest młodości. Doktor westchnął, odwrócił oczy i znowu patrzył w talerz. Jedzenie dzisiaj wieczór było bardzo dobre: potrawka z raków i krem przypalany. I nagle po kolacji pani Marta wstała i wyjęła klucz z szuflady małego stolika, stojącego przy fortepianie. Mąż popatrzył na nią zdziwiony. Ale ona krokiem, który usiłowała uczynić obojętnym (pomyślała, że Boguś chodzi tak rytmicznie, jakby tańczył), podeszła do drzwi pokoju chłopców, otworzyła je kluczem i weszła do środka. Zapaliła światło. Pokój był martwy i pusty i mało w nim zostało z dawnej atmosfery. Pani Marta usiadła przy stole, który chłopcom służył do nauki. Parę lat temu spędzała przy tym stole po parę godzin dziennie, teraz nie przychodziła tu bardzo dawno. Doktor nie ruszył się od stołu i popijał na pozór spokojnie herbatę. Drzwi do pokoju chłopców miał przed sobą i widział przy stole sylwetkę żony. Po chwili ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak z łokciami wspartymi na stole. Gdy wypił herbatę, wstał ciężko i podszedł do Marty. — Chodź — powiedział kładąc jej rękę na ramieniu — nie siedź tutaj. Marta drgnęła. Odwróciła do niego twarz. — Czy ty nie masz uczucia wstydu — powiedziała do męża — czy ty nie wstydzisz się, że żyjesz? Doktor wzruszył ramionami. — Bo mnie jest wstyd mojego życia wobec wszystkich zmarłych — powiedziała Marta i wstała z miejsca. Zaczęła chodzić po obszernym i pustawym pokoju. — Mnie jest wstyd wobec wszystkich zmarłych, a cóż dopiero wobec naszych... Doktor bezradnie stał pośrodku pracowni chłopców. Ręce jak kamienne opadły mu ku dołowi. — I pomyśl sobie, taka masa jest młodych — mówiła Marta — a naszych nie ma. — Nie byłoby już tacy młodzi — westchnął stary lekarz. — Jak myślisz? Byliby już żonaci? — spytała. — No, na pewno. Mielibyśmy prócz nich młode kobiety w domu. — Och, to okropne — wzdrygnęła się. — Nie cierpię młodych kobiet — dodała — to takie pretensjonalne. Doktor znowu podszedł do niej. Wziął ją pod rękę. — No, chodź stąd — powiedział — niepotrzebnie się denerwujesz. Marta poddała się jego namowom. — Mnie zawsze ogarnia taki straszny wstyd, kiedy widzę jakieś młode życie. Bo młodość jest bezwstydna. Prawda? — powiedziała idąc z mężem do sypialni. Ale doktor zaprzeczył głową. — Zapominasz o jednej rzeczy — powiedział — że życie tak łatwo może się stać śmiercią. Nazajutrz przyszedł Boguś. Pani Marta nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że fakt ten bardzo ją ucieszył. Po chwili dopiero zrozumiała, czego chciał od niej: oczywiście wziął na serio to wszystko, co mu wczoraj mówiła o książkach. Chciał pożyczyć coś do czytania. Nie umiał tylko powiedzieć co. Powiedział tak dziwacznie: coś z polonistyki. Pani Marta domyśliła się, że chodziło o takie książki, jakimi interesowała się Halina. Okazało się jednak, że nic nie czytał, a jeżeli czytał, to nawet nie pamiętał tytułów przeczytanych książek. Można mu było wetknąć byle co w rękę, ale pani Marta chciała wreszcie wydobyć z niego jakieś wyznanie literackie. Pytała go, co lubi czytać, i nie bardzo chciała się zorientować, że on nic nigdy nie czytał i że nie umie po prostu wyrazić swego życzenia. Siedzieli jakiś czas w tym saloniku z szafirowymi meblami, znowu było pięknie i znowu był zachód słońca. Przed oknami mieszkania od strony ulicy rosły olbrzymie jaśminy, prawdziwe jaśminowe drzewa — jak mawiała pani Marta. Były teraz w pełnym kwiecie i zakrywały światło zachodzącego słońca biało-zielonymi, na wpół przejrzystymi bukietami. — Widział pan nasze jaśminy? — spytała pani Marta. — Prawdziwe jaśminowe drzewa. Było to jedno z jej ulubionych powiedzeń, powiedzenie jej młodości. Wtedy jaśminy nie były takie wielkie, chociaż nie bardzo urosły przez tych dwadzieścia lat. Ale i wtedy nazywano je jaśminowymi drzewami. Boguś nie wiedział, zdaje się, o jakich krzakach czy drzewach mowa. Miał właściwość niektórych prawdziwych mężczyzn, że nie umiał zapamiętywać nazw kwiatów i drzew. Nie wiedział dokładnie, co to są jaśminy. Wiedział tylko, co to jest bez — i to z powodu głupiej a ordynarnej elbląskiej anegdotki. — Rzeczywiście — powiedział i patrzył na panią Martę nie rozumiejącymi oczami. — Pan jest strasznie młody — powiedziała Marta niespodziewanie dla samej siebie — ile pan ma lat? — Już pani mówiłem: dwadzieścia pięć. Pani Marta pomyślała, że sprawia jej specjalną przyjemność, jeżeli ktoś w jej obecności powiada, że ma dwadzieścia pięć lat. Sama ta liczba przyprawia ją o radość. To, że jest ktoś na świecie, kto ma taką dziwną i taką piękną liczbę lat. Przez chwilę chciała powiedzieć o tym Bogusiowi, ale wiedziała, że on nic z tego nie zrozumie. Więc zaniechała tego zamiaru. Ale tematu do rozmowy nie brakowało. Znowu wrócili do kwestii pływania i do powodzi, która niedawno nawiedziła miasteczko Z. Jakoś im szło dzisiaj gładziej z rozmową aniżeli zeszłym razem na wale. Jednak wspomnieli i wał. — Czy pan często tam chodzi? — spytała

pani Marta. — Nie mam z kim — powiedział Boguś i zaczerwienił się. — Jak to? — zdziwiła się Marta. Boguś nabrał oddechu i wypalił: — Chyba żeby pani chciała ze mną iść na spacer. Pani Marta zdziwiła się. — Ależ bardzo chętnie — powiedziała, a potem dodała: — Cóż to, Halinka wyjechała? — Wyjechała do ciotki i wcale się ze mną nie pożegnała — powiedział Boguś tonem dziecka. Był to u niego zupełnie nowy ton i pani Marta popatrzyła na niego życzliwie. — No, chyba — powiedziała. — A więc dobrze. Jutro o dwunastej w dzień ma pan czas? To spotkamy się na plaży nad rzeką, pod samym mostem. Spróbujemy razem popływać. Boguś zgodził się skwapliwie. Zaraz potem poszedł sobie. I ostatecznie nie pożyczył żadnej książki do czytania. Nazajutrz pani Marta otrzymała list. Był to kawałek papieru bez koperty, przyniósł go jakiś chłopaczek z zarządu wodnego. „Szanowna Pani, Wczoraj byłem taki speszony, że umówiłem się z Panią na południe, ale ja przecież pracuję. Wolny będę dopiero koło czwartej. Czy pani może być o tej godzinie na plaży w umówionym miejscu? Łączę wyrazy prawdziwego szacunku Bogusław K.” List był napisany (przepisany?) starannym i dziecinny pismem i sformułowany bez zarzutu. „Czy to Halinka pisała?” — pomyślała pani Marta. Około czwartej poszła więc na plażę pod mostem. Plaża była nieduża i o tej porze zupełnie pusta. Bogusia nie było. Pani Marta rozebrała się w krzaczkach — jak wszyscy to robili bez względu na wiek i sytuację społeczną — i w kostiumie weszła do rzeki. Siła wody była tak potężna, że o płynięciu pod prąd nie mogło być mowy. Trzeba było płynąć jakiś czas z prądem, potem wychodziło się na brzeg i szło się z powrotem łąką i piaskiem. Doktorowa zrobiła parę takich przechadzek. Nie chciała się przyznać przed sobą, że nieobecność Bogusia była dla niej dużą przykrością. Za trzecim razem popłynęła trochę dalej, za most, i wracając piechotą zauważyła na moście, od przeciwnej strony niż leżała plaża, znajomą sylwetkę i taneczny krok. Boguś szedł mostem razem z Halinką — widać Halinka do cioci jeszcze nie wyjechała. Szli w stronę stacji rozmawiając wesoło. Pani Marta wróciła do miejsca, gdzie zostawiła swoje ubranie, pod dużym krzakiem jeżyn, obok zarośli wiklinowych. Usiadła zmiażdżona i nie mogła oprzytomnieć. Zdała sobie sprawę z charakteru swoich uczuć do Bogusia i skonstatowanie tego faktu spowodowało uderzenie jak obuchem w łeb. Trzęsła się jak w febrze. Tyle lat spokój i smutek panowały w jej sercu. I teraz, kiedy czuła w sobie zarodek śmiertelnej choroby, postać (bo 30 Opowiadania co innego?) młodego chłopca, który był młodszy od jej dzieci, sprowadziła taki zamęt w jej duszy. Gotowa była przeklinać Bogusia. Chociaż z drugiej strony powtarzała sobie: a co on winien? Siedziała tak długo. Przez plażę przechodziły różne osoby, żołnierze kąpiący się w gaciach, dzieci. Chłopcy nieśli pęki tataraku, stamtąd, z łąk, gdzie leżały małe relikty wodne, resztki chronicznych powodzi. Jutro miały być Zielone Świąta, tatarak niesiono do umajenia domów. Siedziała długo. „I po tym trzeba będzie jeszcze żyć? — myślała. — To straszne, lepiej umrzeć od razu.” Nagle usłyszała jakiś głos nad sobą: — Proszę pani, proszę pani. Spojrzała w górę, na moście stał uśmiechnięty Boguś. — Przepraszam, że się spóźniłem — wołał do niej przechylając się przez kratę — ja zaraz zejść. Narwiemy tataraku. Pani Marta skinęła ku niemu rękę. Podniosła zielone pasmo wodnej rośliny, którą upuściło przechodzące dziecko. Powąchała wonny liść. Przepadała za tym zapachem. Potem podniosła się i poszła w stronę, skąd miał przyjść Boguś. Czekwała chwilkę, aż wyłonił się spomiędzy wiklin. Zdołał się już rozebrać i szedł ku niej swoim tanecznym krokiem, zupełnie nagi w malutkich slipach cytrynowego koloru. Nie był opalony i ciało jego było białe i miękkie jak jedwab. Mimo to spostrzegła, że jest niebywale pięknie zbudowany. Harmonia linii opisującej jego piersi i uda była tak doskonała, że pani Marcie odebrało mowę. W milczeniu podała Bogusiowi rękę, której ten nie ucałował. Patrzył jej prosto w oczy. Jego brzydka twarz, osadzona na tak pięknym ciele, nabierała innego wyrazu. „Byle tylko nic nie mówić” — pomyślała Marta. Ale Boguś mówił. — Przepraszam, że się spóźniłem. Ale musiałem odprowadzić Halinkę na dworzec. — Więc ona nie wyjechała? — Nie miała pieniędzy na bilet. Musiałem jej oddać wszystko, co miałem, i zostałem bez grosza. Uśmiechnął się tak promiennym uśmiechem, że twarz mu się odmieniła. Uśmiech opromieniał całe ciało. :— Dam ci pieniędzy — powiedziała Marta. — Naprawdę? — ucieszył się Boguś. To było okropne. Marta chciała jak najprędzej zamazać tę pospolitą, straszną rozmowę. Chciała jego i siebie odosobnić od całego świata. Chciała go okryć zielonym namiotem liści. I żeby milczał. Nagle plaża, most, wołające przeciągle dzieci, kąpiący się żołnierze stali się nie do zniesienia. Nie chciała spojrzeć na widoczne stąd domy miasteczka. Gdzieś w dole rzeki wołała wilga. Na białodrzewie, niedaleko mostu, migiała złota jej łuska. Pani Marta trzymała Bogusia za rękę. — Chodźmy, narwiemy na jutro tataraku — powiedziała i pociągnęła go w stronę łąk. Wzdłuż rzeki, między brzegami porośniętymi wikliną a szerokimi połaciami trawy, pokrytymi w tej chwili gęstą siecią stokroci — ciągnęły się owe większe i mniejsze „oczka” stojącej wody. Były to resztki jakichś dopływów, których ujścia się zamuliły, lub dziury, które wypełniały wezbrane

fale powodzi. Wśród tych „oczek” niektóre tworzyły prawdziwe jeziora, malownicze, zarośnięte tatarakiem i okryte wachlarzami płaskich liści lilii wodnych. Odbijały się w ich zielonawej wodzie jak w lustrze wysokie, przyszczyżone wierzby, zarośla wiklinowe i białe obłoki — w wodzie zabarwiały się one zielonkawo — spokojnie sunące po wysokim niebie. Mijali je w milczeniu. Nad jednym z tych jezior, położonym daleko od drogi i oddalonym nieco od innych, stał wielki białodrzew. Kiedy przechodziło się koło niego, nawet w bezwietrzny dzień, liście drzewa szeleściły bezustannie. M* 467 Była to osobliwa muzyka, którą nade wszystko lubiła pani Marta. Tam się więc skierowała teraz z Bogusiem. W jednym końcu długiego, ciemnego i zapewne bardzo głębokiego jeziora na brzegu było nieco białego piasku — taka mała plaża. Tam rzucili zabrane ze sobą ubrania i zostali w kostiumach. Dzień był gorący, ale świeży. Była już jakaś szósta po południu. Boguś miał na sobie tylko te wąskie slipy cytrynowego koloru. Pani Marta wciąż była wstrząśnięta doskonałością jego kształtów, do których tak nie pasowała twarz pergamońskiego barbarzyńcy z małym, wzniesionym w górę nosem. Boguś leżał płasko na piasku, patrząc na rzadkie obłoki, wypływające nad jezioro. Żaby skrzeczały gwałtownie, ale w innych jeziorach, trochę dalej. W wiklinach nad rzeką bez żadnej przerwy kwiliły z przesadnym patosem słowiki. Milczeli. — O czym myślisz? — spytała pani Marta. — O niczym — z nieprzyjemnym pośpiechem powiedział Boguś. — O Halinie? — powiedziała ona. — O Halinie — potwierdził chłopak i usiadł. — Masz całe plecy w piasku — oburzyła się Marta. — Daj, oczyszczę cię. — I zaczęła otrzepywać skórę Bogusia. — Przecież zaraz się o p łuk ę — zniecierpliwził się Boguś. Marta nie słuchała i starannie gładziła plecy chłopca. Potem mocno przytuliła do nich policzki. — Co pani robi? — zaniepokoił się Bogusław. Szybko się odwrócił. Marta cofnęła głowę i odchyliła się w tył. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie Boguś przyciągnął głowę Marty do siebie i pocałował w usta. Pocałunek trwał długo. Kiedy oderwali wargi od warg, z kolei pani Marta powiedziała: — Co ty robisz, Boguś? Boguś uśmiechnął się i powiedział leciutko: — Pani jest taka dobra. Marta zapłonęła rumieńcem. Zirytowało ją to powiedzenie. — Mężczyzna nigdy nie powinien mówić kobiecie, że jest dobra... — A co ma mówić? — naiwnie, ale z pewnym zniecierpliwieniem powiedział Boguś. — Nic — przez zęby syknęła pani Marta i odwróciła się. Siedzieli przez chwilę naprzeciwko siebie w milczeniu. Wreszcie Boguś westchnął. — Trzeba nabrać tego zielska — zdecydował. Zerwał się i wskoczył do jeziora. Z miejsca była tutaj głębina. Nurkował, wypłynął na środek i po chwili znajdował się już w drugim końcu, gdzie rosły zielone pędy wonnej rośliny. Pani Marta została sama na brzegu. Serce jej ścisnęło się rozpaczą. Właściwie, tak przynajmniej myślała, nie zostało jej nic innego, jak popełnić samobójstwo. Wszystko przepadło. Kiedy Bogusław przepłynął jezioro z powrotem i zjawiał się przed nią z pękiem tataraku, spojrzała na niego jak na jakąś obcą, nie znaną istotę. „Jedno z nas musi umrzeć” — pomyślała. I wyobraziła sobie, jak nieskończoną ulgę uczułyby, gdyby tego chłopca nie było. Nie byłoby wtedy człowieka na ziemi, który by znał jej tajemnicę. Piekąca męka i piekący wstyd ustąpiłyby, nie istniałyby po prostu. — Niech pani trzyma — zawołał Boguś wesoło i bynajmniej nie zmieszany tym, co zaszło. — Ja jeszcze przyniosę. I rzucił do stóp Marty cały pęk zielonych pędów. „Przyzwyczajony do takich rzeczy” — z goryczą pomyślała Marta i nie chciała spojrzeć na Bogusława. Patrzyła na snop zielonej rośliny leżący na piasku. — Chyba będzie dosyć — powiedziała. — Nie, za mało. Potem pani będzie narzekać, że jestem leniwy — zaśmiał się Boguś i nagle objął ją za szyję i lekko musnął wargami jej wargi. Marta chciała go zatrzymać. — Zaraz, zaraz — powiedział porozumiewawczo — tylko przyniosę jeszcze tego świństwa. Oderwał się od niej i z rozbiegu skoczył do ciemnej wody. Znikł pod nią i długo się nie wynurzał. Wreszcie Marta ujrzała jego głowę w samym środku wodnego oka. Posuwał się naprzód powoli i jak gdyby z trudem. — Co mu jest? — powiedziała do siebie Marta. Ale Boguś doплыł spokojnie do końca. Jego ramiona klasycznie wynurzały się z wody i dłonie elegancko klepały powierzchnię. Drobne bryzgi wylatywały spod jego palców. Marta widziała, jak osiągnął dno, stanął przy tatarakach i wyrwał długie pasma. Oczywiście z zielonym snopem trudno mu było płynąć z powrotem. Mógł wiosłować tylko jedną ręką. Toteż posuwał się powoli. — Co mu jest? — powtórzyła Marta. Nagle w środku jeziora poszedł pod wodę. — Po co on nurkuje? — zaniepokoiła się doktorowa. Głowa Bogusia wynurzyła się na chwilę z topieli. Było to dość daleko, ale Marta spostrzegła w jego oczach coś jakby przestach. Zerwała się na równe nogi. Boguś znowu się schował. A kiedy się wynurzył, uczynił ręką w stronę Marty gest przerażający. Tonął. Marta wskoczyła do wody i płynęła w jego kierunku. Nic nie widać było nad wodą. Na samym środku jeziora Marta zanurzyła się w głęboką, zimną wodę. Otworzyła oczy i ujrzała owo zielonawe, mętne światło, jakie zazwyczaj widzi się nurkując. Rękami falowała tu i ówdzie starając się natknąć na ciało topielca. Ale nic nie znajdowała. Poszła jeszcze głębiej. Nie mogła wytrzymać bez oddechu i już szła ku górze

zamknąwszy powieki, kiedy o ciało jej musnęły bezwiednie i bezsensownie przebierające ręce. Podążyła za nimi i chwyciła jakieś ciało. W tej chwili dwa mocne ramiona otoczyły jej szyję. Chciała wraz z nimi wypłynąć na powierzchnię. Ale ramiona ciążyły, cisnęły i ciągnęły ją w dół, na dno. Traciła oddech i za chwilę mogła się napić wody. Wówczas jednym uchyłem głowy w dół wyciągnęła szyję z dławiących ramion i podbiwszy się lekko w górę wypłynęła. Była pod samym brzegiem. Nie pamiętała, jak wyskoczyła na piasek. Obejrzała się na jeziorko: pośrodku czerniejącej wody bulgotało coś przez chwilę i pojawiły się pęcherze. Zakryła oczy rękami. Gdy je odjęła, woda była gładka. Wskoczyła na wał nadbrzeżny i biegła nim krzycząc: — Ratujcie, ratujcie! Zza wierzb wyleciało dwóch chłopaków, którzy tam kosili łąkę. Krzyknęła do nich, wskazując na jeziorko. — Tam, pod wysokim drzewem! Boguś się utopił! — wołała. Chłopcy biegli prędzej od niej i kiedy doleciała do jeziorka, już się rozebrali i skakali do wody. Zaczęli nurkować, systematycznie obszukując dno. Wynurzając się pohukiwali na siebie. — Po samym środku, po samym środku! — wołała Marta. Chłopcy przemierzali całe „oko” wodne do końca i potem ruszyli z powrotem. Nagle jeden z nich, Stasiek, zakrzyknął wynurzając się: — Jest, jest! — Ciąg za włosy, ciąg! — wołał drugi. Obaj zanurzali się i wynurzali w jednym miejscu, aż potem razem płynęli ku Marcie ciągnąc pod wodą jakiś ciężar. Dobili do brzegu i wylazszy na wierzch wyciągnęli Bogusia. Przewalili go przez cembrowinę i wyciągnęli ze strasznym trudem na piasek. Trwało to wszystko z pół godziny. Zaczęli mu robić sztuczne oddychanie. 'ł Woda wylewała się z ust topielca, ale nie dawał znaku życia. — Czekaj— powiedział Stasiek — poletę po chłopaków, trzeba go pobujać. — Ja z tobą — krzyknął drugi, niepewnie zerkając na ciało. Widział chyba, że daremne ich trudy. Boguś był zresztą dobrym pływakiem. Musiało go chwycić serce. A wtedy wszelkie „bujanie” było zbędnym trudem. — Pani tu popilnuje — powiedział Stasiek. Wrzucili na mokre ciała bieliznę i pognali. Słysząc było jeszcze przez chwilę ich pokrzykiwania. Bose ich stopy dudniły po ubitej powierzchni ochronnego wału. I oto nad jeziorkiem zapanowała śmiertelna cisza, której nie mąciły okrzyki oddalających się chłopców. Ciało Bogusia leżało na piasku obok pęków tataraku, tak jak je porzucili ratownicy. Ramiona miał rozrzucone na krzyż i na włosach pod pachami błyszcząły okrągłe, zielonawe krople. Otwarte oczy nie patrzyły i były matowe jak u starożytnych posągów. Z rozdziawionych ust wyciekał wąski strumień wody czy śluzu. Pani Marta siedząc w kucki w pobliżu ciała przypatrywała mu się z napięciem, jakby na wieki chciała zawrzeć w oczach zarysy nieprawdopodobnej piękności. Cała postać topielca powlekała się jakby celofanem obcości i sztywności, ciało to z minuty na minutę przestawało być człowiekiem. W jasnym słońcu czerwcowego dnia błyszcząły ostrym kolorem żółte, szczelnie obciśnięte kąpielówki, których barwę tylko nieco przełamывał zielony nalot zgniłej wody. „Dlaczego nie utopiłam się z nim razem? — myślała pochylając się nad ciałem. — Czy chciałam żyć? Żyć dalej — po co?” I bez przerwy powracała w jej pamięci chwila, gdy jednym gwałtownym ugięciem wysliznęła szyję z jego dławiących uścisków. — Żyć? — powtarzała. — Żyć! Zrazu ostrożnie dotknęła jego piersi. Skóra topielca szybko wysychała, choć słońce zniżyło się już ku zachodowi. Poczwała pod palcami coś zimnego, jak gdyby marmur. Ściągnięte mięśnie wypinały skórę. Każda linia przeprowadzona po tych wypukłościach była skończenie piękna. Pani Marta przyłożyła usta w miejscu, gdzie na przełęczu pomiędzy dwoma wzgórkami porastał delikatny puszek. Już i on wysechł. Kobieta stopniowo przeniosła swoje wargi poniżej piersi, gdzie przebiegały najpiękniejsze mięśnie gorsu, a potem nagłym poruszeniem zaczęła całować piersi, przeponę, brzuch, pępek i w gwałtowności pocałunków, którymi obsypywała zmarłego, schodziła coraz niżej. Całe to zimne i kształtne jak rzeźba ciało pachniało tatarakiem. Ale kiedy pani Marta poczuła pod wargami rąbek żółtych slipów, do nozdrzy jej doleciał zapach błotnistego iłu, gnijących rybich łusek i woń błota — aromat śmierci, która miała się stać niebawem również jej udziałem.

1958